

Wojciech CHUDY

BEZINTERESOWNA POTRZEBA PIĘKNA

Odkrywamy w sobie nieodmiennie od tysiącleci potrzebę piękna. Estetyzujące rysunki na ścianach jaskiń w Lascaux i gładko oszlifowana kość zwierzęcia wpięta we włosy dziewczyny, której ciało znaleziono po wiekach w bagnach Jutlandii, mają swoje odpowiedniki w dzisiejszych czasach. Dziś wracając z wakacji widzimy „bajecznie kolorowe” wiejskie ogródki przed domami, a przystając przed dyskoteką oglądamy motocykle pyszniące się jak pawie wszystkimi kolorami tęczy domorosłej plastyki właścicieli; w pewnej chwili z lokalu wychodzi nastolatka, której fantastyczna fryzura à la „wściekła chryzantema” jest zadziwiającą kompozycją kilku barw. Wszystkie te przykłady można opisać w kategoriach socjologicznych lub psychologicznych (np. jako przejaw symbolizmu magicznego lub potrzeby atrakcyjności seksualnej), lecz nie sposób oddzielić ich od poczucia i potrzeby piękna.

Bezinteresowna potrzeba piękna tkwi u podstaw takich zachowań. Nasycić oczy zestawem kolorów, kształtem, formą, ruchem. Zanurzyć się w fali dźwięków, ulec ich rytmowi, poczuć dziwne emocje wywołane przez melodię. Przeżyć ukojenie spowodowane przez harmonię albo przeciwnie – pobudzenie niepokojącym zestawem wrażeń. Gdzieś „u spodu” naszych działań drzemią takie pragnienia, nawet jeśli idziemy na koncert, „bo wypada”, zmieniamy stare meble na nowe, „bo co ludzie powiedzą”, i ubieramy szalową kciekę, żeby wzbudzić zazdrość najbliższych przyjaciółek.

W tej potrzebie piękna mieści się jednak nie tylko element zaspokojenia zmysłów i przyjemności płynącej z widzenia, słyszenia, dotykania i ruchu (jak np. w tańcu). W tym starym przeżyciu piękna zawarte jest widzenie natury świata i rzeczy oraz obcowanie z ludźmi. Zbigniew Herbert w studium *Martwa natura z wędzidłem* (Wrocław 1993) pisze: „Dawni mistrzowie, wszyscy bez wyjątku, mogli powtórzyć za Racinem – «pracujemy po to, aby podobać się publiczności», to znaczy wierzyli w sens swojej pracy, możliwość międzyludzkiego porozumienia. Afirmowali widzialną rzeczywistość z natchnioną skrupulatnością i dziecięcą powagą, jakby od tego miały zależeć – porządek świata i obroty gwiazd, trwałość niebieskiego sklepienia” (esej *Cena sztuki*).

Herbert woła: „Niech pochwalona będzie ta naiwność”, albowiem minęła już epoka takiego przeżywania piękna w sztuce. Tacy artyści, jaka publiczność. Kiedyś dzieło sztuki cieszyło zmysły, dając przez to radość duchowi. Odczuwanie przyjemności estetycznej było jednocześnie chwaleństwem dzieła Bożego. Dziś przeżycie to – dalece zmienione, niejednokrotnie zastąpione szokiem lub zdziwieniem – służy zwykle czemuś innemu. Ma nieść jakąś informację, pobudzać do działania lub uświadamiać program. Nie jest już bezinteresowne. Stało się przeżyciem zideologizowanym.

Przeżycie piękna zawsze narażone było na okrojenie, oszpecenie lub wprzęgnięcie w kierat służby. W Średniowieczu Bernard z Clairvaux pisał: „Mamy za mierzwę wszystko to, co świeci pięknie, koi śpiewem, pachnie rozkosznie, smakuje słodko, jest miłe w dotyku”. Ta negacja miała służyć odciążeniu duszy od pobudzeń ciała. Uczony cysters chciał zbudować przeżycie czystego

piękna, perpetuum mobile ludzkiej duszy skierowanej ku samemu Stwórcy. To „majstrowanie” przy naturze przeżycia tego, co piękne, nie mogło przynieść dobrych rezultatów, zakładało bowiem w człowieku anioła. W naszym wieku doświadczyliśmy innej próby zamiany przeżycia piękna. Socrealizm kazał zachwycać się monoideą. Sztuka miała być jedną wielką metaforą komunizmu. Epoka, która zaowocowała w malarstwie pracami w rodzaju *Wspólnota rolników pozdrawia czołg* Jekateriny Zernowej, a w poezji strofami takimi, jak na przykład ta Adama Ważyka: „A jej tylko drgała warga, / gdy ranną porcją oliwy maściła, / czuła kolejarka, / tłoki lokomotywy” – nie trwała długo. Ukazała jednak bezgranicznie smutny i pusty świat ludzkich przeżyć, w którym piękno zastąpiono polityką.

Dziś niestety żyjemy w tej dziedzinie również w świecie zastępczym. W teatrze dominuje postmodernistyczny show, film został przejęty przez przemysł wyspecjalizowany w produkcji dla młodzieży, najbardziej dynamiczny nurt sztuk plastycznych to design, grafika użytkowa (reklamy, projektowanie logo), a w dziedzinie muzyki moloch przemysłu rozrywkowego sąsiaduje z wąskim poletkiem konstrukcji dźwiękowych tworzonych dla ucha samych kompozytorów i akademickich teoretyków – utwory z obydwu tych obszarów właściwie nie dają się słuchać. Światem tym w większości rządzi business oparty na ideologii użycia. Choć w grę wchodzi tu wielkie pieniądze, paradoksalnie trudno się w tej sztuce doszukać bogactwa przeżyć. „To my jesteśmy ubodzy, bardzo ubodzy. Znakomita część sztuki współczesnej opowiada się po stronie chaosu, gestykuluje w pustce albo mówi o historii własnej, jałowej duszy” (Herbert, tamże). Sztuka dziś przeważnie tłumi lub zabija w człowieku naturalną potrzebę piękna.

Jednak ona istnieje! Pojawia się przy okazji pielęgnacji ogródka przy domu czy upiększania twarzy kobiety idącej na spotkanie. Budzi się w mieszkaniu starego kawalera, który w każdą niedzielę rozkłada sztalugi, aby malować „martwą naturę swego życia”. Jest zatopiona w tomiku wierszy wydanych „własnym sumptem” przez poetę amatora. Objawia się w przeżyciu wielkości przyrody – gór jesienią, lasu wiosną – lub „zaczytaniem się na śmierć” wielką literaturą. W tych rejonach – dalekich od sal premierowych i głośnych galerii – możemy dziś znaleźć bezinteresowne przeżycie piękna, przeżycie łączące nas z ładem wszechświata, z uczuciami innych ludzi i z jakąś postacią łaski.

I to w końcu optymistyczny punkt tego przygnębiającego felietonu.